

Czerwona róża

Nade mną migotały gwiazdy, a we mnie drzemała bezsenność. Jeżeli tylko miałbym odrobinę siły, zdobywałbym się na cynizm, ale cynizm był już dawno poza mną. Była godzina 4.20 rano, a ja od kilku godzin chodziłem po Mieście. Zdecydowałem się na pisownię tego miejsca wielką literą, choć przeceniałem jego rolę. Celem takiego zabiegu było, zdaje się, nadanie mu pewnej rangi.

Na chodnikach, śmietnikach i dachach kiosków leżał śnieg. Nie tylko zresztą tam. Wszędzie było dużo śniegu, z wyjątkiem oczywiście ulic – co jakiś czas przejeżdżał po nich samochód. Były to najczęściej taksówki lub wozy policyjne. Kto inny jeździłby w grudniu o czwartej nad ranem? Powieki miałem wyjątkowo ciężkie, ale wiedziałem, że nawet jeżeli wrócę do wynajmowanej kawalerki, nie usnę. Trwało to już ponad sześć tygodni, ale tego nigdy nie można być do końca pewnym. Poza tym miałem coś do zrobienia. Jeżeli już zdecydowałem się wyjść z zamieszkiwanego sześcianu, musiałem mieć powód. Inny aniżeli ten, że kawalerka zwiesza się nade mną sufitem i wystawia głowę żyrandola w celu pożarcia mnie.

Latarnie rzucały bladą poświatę, która osiadała na białej pościeli. I tylko za mną wlokły się ślady ciężkich butów, ślady, które nie pasowały do bajki o Kopciuszku, zasypywane przez prószący śnieg, wymazywane przez niebo. Szedłem już wiele godzin, choć mogły przecież być to także dni, bo tam, gdzie nie ma snu, nie istnieje również jawa.

Na jednej z wygaszonych wystaw sklepowych zauważyłem manekiny, które za kilka godzin miały rozpocząć pracę, prezentując zimową kolekcję odzieży, lecz teraz jeszcze stały nieporadnie, dźwigając kolorowe pętle szalików i kajdany rękawiczek. Przystanąłem na chwilę i przyjrzałem im się uważniej – nie było tam już nic prócz niebieskiej ściany, a ja zrozumiałem, że jest to *Rozstrzelanie cieni* Wróblewskiego i że po każdym dziennym spektaklu, po wielogodzinnym wybiegu, manekiny czeka śmierć. Pomyślałem więc, że pewnie chciałyby być bohaterami jakiejś książki lub przynajmniej jednej kartki w pamiętniku, nawet jeśli pisany byłby tylko w czyimś umyśle.

Czekał mnie jeszcze kawałek drogi, ale wiedziałem przecież, że w końcu dotrę do tego żółtego namiotu, podobnego lub chociaż zupełnie innego od tych, jakie mieli perscy kalifowie podczas odległych podróży.

Postanowiłem nadłożyć drogi, by pójść przez park. Drzewa skąpane były w srebrze i wiedziałem już, że to nie ja idę, ale one, że to są przecież entowie zbierający się na naradę. Stałem więc, a one maszerowały lasem jak w którejś ze sztuk Szekspira, kompas księżycy wskazywał drogę. Kiedy już wszystkie odeszły, pozostawiły po sobie ławki podobne do łóżek, ale było pięć, może dziesięć stopni poniżej zera, w każdym razie zbyt zimno, aby mógł leżeć na nich jakiś człowiek. Tylko odarta z banderoli butelka z ukruszoną szyjką zamarzała na jednej z nich.

Nieśmiałe wstęgi pomarańczy zaczęły już powoli rozcinać niebo, niosąc ze sobą świeżość niechybnie nadciągającego dnia. Na razie wciąż nie były widoczne, czułem jednak, jak wypełniają zza horyzontu mary sennej i przeobrażają się w jasne gąsienice smug. Niedługo zaczną ryć, a wtedy ziemia zadrży i będzie to znak, że mogą już jechać tramwaje, a kostki bruku przeciągną się leniwym dreszczem. Dla mnie jednak czas nie miał znaczenia, od dawna już nie zwracałem na niego uwagi, choć tak naprawdę wiedziałem, że to on zapomniał o mnie i poszedł dalej, gdy ja pozostałem w pętli.

I kiedy tak niosłem swoje niespełna siedemdziesiąt kg, parę zapuchniętych oczu i kilka zdrowych czy chorych organów, ale także przecież i inne rzeczy, zrobiło mi się lekko i jak na łyżwach poruszałem się po kałużach lodowisk, bo z każdą minutą byłem coraz bliżej miejsca, gdzie spoczywała czerwona róża. Widziałem ją także teraz, zimną, stojącą na mrozie pośród wielu innych kwiatów, czekającą wciąż na mnie. Przesuwałem się więc od jednej kałuży do drugiej, od drugiej do trzeciej jak po nici i tak dalej, i dalej, a przecież bliżej i bliżej celu.

Podczas tej wędrówki towarzyszyły mi fragmenty pejzaży, skrawki obrazów, wycinki spostrzeżeń i odłamki myśli. Miasto nie miało żadnej architektury, żadnego kształtu ogólnego. Byłem zmęczony i wiedziałem, że segmenty ulic muszą złożyć się w taką mozaikę, która doprowadzi mnie do końca drogi, jakakolwiek by ona była, przez jakiegokolwiek manowce wiodła. Mijałem kamienice i bloki, a one mijały mnie, choć pozostawiały po sobie mglisty ślad popękanych tynków z zaciekami tych wszystkich dramatów, jakie rozgrywały się pod ich skórą. Balkony – pokoje bez ścian – ukazywały żebra balustrad i organy wystawionych na żer rdzy sprzętów. Foliowa torebka poderwana do lotu wiatrem nabrała powietrza w płuca, by po kilku niezdarnych kołowrotekach osiąść i odetchnąć na chwilę w przyczajeniu przed światem, a ja wciąż szedłem dalej, dźwigając na plecach półświt i kołowrotek myśli. Pomyślałem wtedy, że jeżeli się zatrzymam, on zatrzyma się także pozbawiony jakiegokolwiek energii, więc wyobraziłem sobie różę, ale jej obraz wypierany był przez wiersz, dawno już czytany, niemal zapomniany, w którym mogło to być również imię umarłej dziewczyny. Dualizm ten nie chciał mnie już opuścić i miałem go ze sobą, gdy wreszcie dotarłem do złotego jak kanarek namiotu.

Tę całodobową uliczną kwiaciarnię prowadziła na zmianę z mężem czterdziestodwuletnia kobieta o spracowanych rękach i zmęczonej twarzy. Miała na imię Ewa, a jej syn od długiego już czasu leżał w szpitalu. Potrącony na pasach przez zbyt szybko jadący w przyszłość samochód, teraz pozostawał w stanie śpiączki. Rodzice, niczym gwardia honorowa, na zmianę stali przy jego ułożonej starannie na poduszce głowie i spoglądali z lękiem na jego nogi, czy przyczajona tam śmierć nie zacznie przesuwać się w kierunku jasnej, dziecięcej jeszcze czupryni. Łukasz oddychał równomiernie, a jego serce uderzało jednostajnie życiem. Rodzice wsłuchiwali się w tę najpiękniejszą z muzyk, nawet wtedy gdy jedno z nich właśnie znajdowało się w kanarkowym namiocie.

Stała w zbyt ciężkiej kurtce puchowej i w wełnianej czapce.

– Poproszę jedną czerwoną różę – powiedziałem do niej.

– Z tych wysokich? – spytała, spoglądając na czarny plastikowy wazon, w którym gnieździły się smukłe, przyprószone brokatem kwiaty.

– Nie, z tych obok. Mogę sam wybrać?

– Oczywiście.

Dojrzałem ją od razu. Była taka, jakiej obraz tutaj przyniosłem, a może jeszcze piękniejsza. Owinęta płatkami, wtulona sama w siebie, spoglądała na mnie nieśmiało. Wyciągnąłem ją spośród innych, wyróżniłem dotykiem, delikatnie ujmując pod kwiatem.

Zapłaciłem za jej uwolnienie i spojrzałem na moją kwiaciarkę.

– Proszę się nie martwić, pani Ewo, Łukasz na pewno z tego wyjdzie.

– Jaki Łukasz? – spytała.

– Pani syn.

– Ale ja przecież nie mam syna. I mam na imię Dorota. Pan mnie musiał z kimś pomylić.

Nie odpowiedziałem. Mogła mieć przecież na imię Ewa, mogła mieć przecież syna – pomyślałem. Odwróciłem się i wyszedłem z różą, lecz nie wiedziałem, czy namiot nie złoży się za mną, czy nie rozpadnie się jak domek z kart, pozbawiony najważniejszej z nich.

Przeszedłem kilkadziesiąt metrów i zatrzymałem się na jakimś placu. Na jego środku powinno być źródło, lecz stała tylko nieruchoma fontanna. Kamienne drzewo, z którego liści miała ściekać woda, podczas mrozu traciło zasadność swojej egzystencji. Przystanąłem przy nim i popatrzyłem na swój kwiat, który twardniał z każdą upływającą sekundą.

Krajobraz rozmył się zupełnie. Tylko ziemia wciąż pozostawała stabilna jak pokład statku na środku oceanu. Nie było uliczek i placu, nie było Miasta i fontanny, nie miałem przecież już dokąd iść. Pozostawała róża, ale nie wiedziałem, co z nią zrobić, gdy w mojej dłoni przekształcała się w marmur. Mógłbym ją zanieść na cmentarz, by jej kolor rozświetlił ciemną bezimienną mogiłę, tylko że wszystkie cmentarze były pozamykane, a między grobami wciąż chodzili mężczyźni o mocnych szczękach, ubrani w czarne uniformy jednej z firm ochraniarskich.

Poczułem wreszcie głód, nie jadłem cztery, może pięć dni, ale może tylko tak mi się wydawało, może tylko przypominałem sobie książkę Hamsuna i odczucia bohatera niebędącego żadnym bohaterem, niebędącego nawet postacią pierwszoplanową, niebędącego nikim rzeczywistym, więc może nieważnym. I tylko te stany, odczucia były prawdziwe, bo przesywały mnie teraz i byłem nimi. To było nawet coś więcej, bo to one mnie kształtowały, ukształtowały, wykształciły myśli, wyprofilowały reakcje, były bodźcem pierwotnym.

Stanowiłem konglomerat, kompilację pewnych niepewności, zestawienie nie-snu i nie-jawy, a zastanawiając się nad tym, pomyślałem również o swojej nieskończonej próżności, bo jak nazwać inaczej to zainteresowanie tym kolażem, rozwodzenie się nad, w gruncie rzeczy, sobą samym. Stanowić więc musiałem to Miasto i tylko róży nie stanowiłem, ale nie miałem teraz co z nią zrobić, a ona nie robiła się dzika w moich rękach, nie starzała się, nie młodziła, lecz zwyczajnie umierała. Choć nawet w tym umieraniu musiało być coś wyjątkowego, konała w sposób jedyny i niepowtarzalny. Twardniała mrozem i wiedziałem, że niedługo stanie się nim samym, utraci kolory, zieloną łodygę i czerwony kwiat. Nie mogłem jej jednak oddać, wiem, że wolała umierać przy mnie niż żyć tam. Jednak chciała żyć, ale ja nie wiedziałem, jak ją ocalić, komu ją wręczyć. Była przecież zima, wczesny ranek, a ja byłem sam na placu składającym się jedynie z popękanych płyt chodnikowych.

– Pan znowu tutaj? – usłyszałem za sobą dźwięczny, znajomy, kobiecy głos.

– Na to wygląda – odparłem, nie odwracając się.

– I co pan robi? – usłyszałem, jak głos zbliża się do mnie.

– Piszę powieść – powiedziałem, wciąż patrząc na popękany chodnik.

– Powieść? Przecież nie ma pan napisanego ani jednego zdania.

– Tak, ale wszystko znajduje się tutaj – powiedziałem i przetarłem chropowatą powierzchnię czoła.

– Nieprawda. Pan ma w sobie jedynie burzę nastrojów, żywioł.

– To i tak chyba jest już coś... – powiedziałem bardzo cicho i odwróciłem się.

Miała na sobie białe rozpięte futro i rubinowy szal. Jasna cera idealnie komponowała się z panującą dookoła bielą. Nawet jeżeli wokół była pustka, miała ona kolor grudnia, kolor srebrzystej bieli. Kręcone miedziane włosy czyniły ją podobną do królowej Elżbiety I, a filigranowa budowa sprawiała wrażenie porcelanowej figurki. Była trzydziestoletnią piękną i miała na imię Wiktoria.

Popatrzyłem na nią, a ona uśmiechnęła się delikatnie.

– Może rzeczywiście to jest już coś – powiedziała bez najmniejszego przekonania.

Zmęczenie znowu dało o sobie znać. Oczy kłuła mi ta biel rozświetlana jakimś niesprecyzowanym światłem.

– Wygląda pan na zmęczonego – powiedziała, przyglądając mi się.

Nie odpowiedziałem, a ona ciągnęła dalej.

– Może zaprosi mnie pan na kawę?

– Niestety – odparłem – nie mogę pani zaprosić nigdzie, jestem bez grosza, nie poczęstuję pani nawet drożdżówką.

– To zabawne, nie tylko nie chce pan przejść ze mną na ty, ale do tego nie ma pan ochoty mnie nigdzie zaprosić. Jestem przecież w pana wyobraźni, panu wolno wszystko.

– Więc dlaczego to pani decyduje, kiedy ma się zjawić?

– Tylko pozornie tak jest, miał pan na to ogromny wpływ.

– Czytała pani Remarque'a?

– Tak.

– A Rilkego?

Roześmiała się.

– Oczywiście, że tak. Czytałam te same książki, co pan. Przecież pan sobie tego życzył.

– I odróżnia pana Grunewalda od Bosh'a? Więc proszę zabrać ode mnie tę różę – powiedziałem, podając jej mój kwiat.

– Tego niestety zrobić nie mogę, pan dobrze o tym wie. Więc jak będzie?

– Z czym?

– Z zaproszeniem na kawę.

– Przepraszam – odpowiedziałem. – Gdzie ma pani ochotę pójść?

– Niech pan zdecyduje.

Usiedliśmy w przytulnej kawiarni Rzym przy kwadratowym stolyczku, na którym rozłożony był obrus w drobną kratkę. Lampka na drewnianym stojaku sączyła światło, tworząc nastrojowy półmrok. W rogu sali Cyganie grali na skrzypcach, zaś inny, w liberii z wyhaftowaną literą R, bacznie nam się przyglądał. Zdążyłem już zamówić dwie kawy, para unosiła się z filizanek niczym dżin wypuszczony z butelki.

– Poczęstuje mnie pan papierosem? – zapytała Wiktoria.

Wyciągnąłem papierosnicę i otworzyłem ją przed nią. Smukłymi palcami przeciągnęła po papierosach i zręcznie wysunęła jeden z nich, ja poczęstowałem się również. Odpalając je, poczułem gryzący zapach siarki.

– Potrafi pani ugotować zupę?

– Zupę? – powtórzyła z lekkim zdziwieniem.

– Pomidorową albo barszcz?

– A wyobraża mi pan siebie w kuchni? – spytała, kołysząc głową.

– Raczej nie.

– Ja też nie. Ale pan powinien skupić się na czymś innym.

– Co ma pani na myśli?

– Pan powinien się skupić na mnie.

– Przecież to robię. Koncentruję się na pani.

– To dobrze, to bardzo dobrze – powiedziała, wysoko wypuszczając strużkę dymu, który rozpływał się w świetle.

– W końcu jest pani moją żoną, prawda? I wszystkie kobiety świata powinny być o panią zazdrosne, ponieważ nie ma nic tak intymnego jak wyobraźnia. Czy istnieje coś bardziej prawdziwego, coś piękniejszego niż ona?

– Niech pan mi to powie.

– A jednak pani nie przyjmie jej nigdy ode mnie – powiedziałem i ze smutkiem przeniostałem wzrok na coraz bardziej martwiejącą czerwoną różę.

– Dlaczego pan nie pójdzie do tej dziewczyny z kasyna?

– Tej przy wejściu, która sprawdza mój dowód osobisty?

– Tak, tej która zawsze się do pana uśmiecha i życzy panu szczęścia. Tej, która ma duże zielone oczy i wyraźnie zarysowane usta.

– Może ma pani rację? Może tak właśnie zrobię?

– Proszę więc iść, panie pisarzu.

– Do zobaczenia pani – powiedziałem, dotykając suchymi wargami jej dłoni.

– Rachunek jest uregulowany – powiedział mężczyzna w liberii. – Można powiedzieć: na koszt firmy – dodał i wyprostował się jeszcze bardziej.

Znowu byłem na placu, krajobraz powrócił, ale każdy powrót łączy się ze zmianą. Dlatego nie wierzyłem w powroty, byłem po prostu w miejscu podobnym do tego, w którym byłem wcześniej. Wyblakłe niebo miało kolor spranego jeansu, kamienne drzewo rozłożyło korzenie bruku, który biegł chodnikami w ulice. Wybrałem jedną z nich i skierowałem się w stronę kasyna.

Na skrzyżowaniu siedziała starowinka w czerwonej kurtce z narzuconym na siwe włosy kapturem. Przed nią w koszykach leżały poukładane warzywa, obok kręcił się wyliniaty, wysuszony wilczur. Zagubiona w lesie nigdy nie dotarła do domku z czerwoną dachówką, ale z czasem nauczyła się z tym żyć. Teraz nie pasowała już nigdzie, jednak jej także nie mogłem ofiarować róży. Kobiecie takiej jak ona nie można było już nic ofiarować.

Wejście do kasyna wiodło przez futrynę przypominającą ramę lustra. Otworzyłem ciężkie szklane drzwi i stawiając stopy na miękkim dywanie, wszedłem w głąb. Na ścianach płonęły smukłe lampki, lecz miejsce to wydawało mi się obce. Na końcu korytarza znajdowały się jeszcze jedne szklane drzwi, a przed nimi ustawiony stolik, za którym siedział ogolony mężczyzna w ciemnym garniturze.

Kasyno zawsze miało czas i nigdy nie było nieczynne, stanowiło osobliwą enklawę, gdyż omijały je święta, nie znało zniecierpliwienia i zawsze zapraszało do siebie. Tutaj na ludzkich twarzach nie było znaczącego zmęczenia, temperatura była wysoka i tylko rosła.

Zbliżyłem się do stolika i zapytałem:

– Przepraszam pana, kiedy będzie tutaj ta dziewczyna o zielonych oczach?

– Ma pan na myśli pracownicę naszego kasyna?

– Tak, zajmuje to miejsce, na którym pan właśnie siedzi.

– Pan chyba żartuje. Tutaj jestem tylko ja i mój zmiennik, tylko że on jest mężczyzną i ma piwne oczy.

– Przepraszam za kłopot – rzekłem i odwróciłem się na pięcie.

– Pan chce nas opuścić – raczej stwierdził niż zapytał mężczyzna.

– Dzisiaj nie będę grać – odpowiedziałem.

– Kierownik sali pana oczekuje.

– Mnie? Jest pan zupełnie pewien?

– Szanowny panie, w naszym kasynie nie może być mowy o pomyłce. Proszę powiesić płaszcz na wieszaku i wejść do środka.

– Dobrze – odpowiedziałem i zacząłem w portfelu szukać dowodu osobistego.

– To nie będzie konieczne – zaproponował mężczyzna i uśmiechnął się zagadkowo.

Kasyno zawsze wypełniali optymiści. Każdy był przekonany, że wygra, nawet jeżeli dzisiaj przegrał wszystko, jutro, najdalej pojutrze, wróci, postawi i stanie się zwycięzcą. U grających w ruletkę numery wryte już były w myślach, zaklęte w magicznej metryce, dacie imienin lub kupna domu. Każda z tych

liczb miała za sobą przebogata historię doświadczeń, była im przypisana, nadana przez opatrność, więc musiała przynieść zwycięstwo. Koło fortuny miało zatrzymać się na liczbie gwarantującej ziemskie zbawienie.

Jednoręcy bandyci z uniesioną w geście pozdrowienia dłonią witali się z każdym wchodzącym. Niektórzy klienci przyjmowali to nieme zaproszenie, by karmić ich monetami, przemawiać do nich, modlić się, przeklinać i zaklinać, by podzielili się ukrywanym skarbem. Ale jak przystało na herszta piratów, każdy bandyta dzielił się wyjątkowo niechętnie i dopiero po wielu dniach i nocach zmuszany był do oddania części łupu. Jego trójka oczu żarzyła się jednak zuchwale, wiedząc, że zwycięzca powróci kierowany chciwością i odda wszystko to, co bezprawnie zrabował.

Zdesperowani, sfrustrowani, pewni siebie, niepewni siebie, spoceni, z miną poważną, zawsze zdenerwowani, z różnie złożonymi rękami mężczyźni, którzy za chwilę stać się mogli starcami lub mogli odmłodnieć zupełnie, stali przy stole, grając w oczko. I ci, którzy czytali Puszkina, i ci, którzy nie wiedzieli o nim zupełnie nic, czekali, by czarna dama pikową puściła do nich oko, by los uśmiechnął się do nich. Stałem tak, obserwując salę, gdy bezszelestnie pojawił się przy mnie wysoki szczupły mężczyzna po czterdziestce, z czarnym wąsem i przylizaną na bok fryzurą. Ubrany był w czarny garnitur, czerwoną koszulę, a pod szyją zawiązaną miał zieloną muchę. Gdy na nią spojrzałem, wiedziałem, że jest to kierownik sali.

– Pan chciał ze mną rozmawiać? – zapytałem.

– Tak, tak – odpowiedział pospiesznie. Witam szanownego pana w naszych niskich progach, osobiście czuję się zaszczycony.

– Mnie też jest miło pana poznać, ale właściwie czego pan sobie życzy?

– Chciałbym, aby pan zagrał w naszym kasynie.

– Przykro mi, ale nie mam nic, co mógłbym postawić.

– Ależ łaskawy panie, nigdy nie ma takiego przypadku, że nie ma się niczego.

– Przykro mi, ale muszę pana rozczarować. Nie mam pieniędzy nawet na jeden żeton.

– Ale ja nie mówiłem o pieniądzach. Pan jest pisarzem, prawda?

– Nigdy niczego nie napisałem.

– Ale jest pan przecież pisarzem?

– Czasem tak myślę.

– Pan należy do tego rodzaju autorów, którzy również czytają, czyż nie?

– To nie jest teraz modne, ale tak, rzeczywiście, czytam.

– Szanowny panie, my nie gonimy za modą. Chce pan postawić jakieś tytuły?

– Pan sugeruje, że mogę postawić przeczytaną książkę?

– Niezupełnie, ale może ją pan wymienić na żetony. Zresztą nie tylko książki, równie dobrze mogą to być nazwiska autorów. Zainteresowani jesteśmy także koncertami smyczkowymi i wspomnieniami, choć te nie są wyceniane zbyt wysoko.

– Ile dostanę za *Ocalony język*?

– Mmmm, trzydzieści żetonów.

– A za *Idiotę*?

– Piętnaście.

– Dlaczego? Kto ustala te stawki?

– Ekscelencja, właściciel kasyna.

– Mogę z nim porozmawiać?

– Być może będzie miał pan okazję. W jego imieniu mam dla pana pewną propozycję.

– Chwileczkę, a jakie książki mają najwyższą cenę?

– *Faust i Mistrz i Małgorzata*.

– A harlekiny?

– Pan chce obrazić ekscelencję? Pan jest bezczelny, proszę pana. Tutaj tacy czytelnicy...

– Przepraszam najmocniej – przerwałem mu i ukloniłem się.

– Jak już powiedziałem, mam dla pana propozycję. Mogę wymienić wszystkie dzieła, jakie pan w sobie nosi. Wiersze znane na pamięć, cytaty. Wszystkie.

– Ale... jeżeli stracę to, nie pozostanie mi już zupełnie nic.

– Pan nie mówi jak hazardzista. Rozczarowuje mnie pan.

– Aaa – zacząłem przeciągle – co mogę wygrać?

Gospodarz sali spojrzął na moją różę, którą trzymałem w ręku.

– Dostanie pan adres osoby, która ją od pana weźmie. Pan jest bardzo zmęczony i nie spał pan od wielu dni. Teraz pan tego nie czuje, ale gdy pan stąd wyjdzie, znowu przygniecie pana ten wciąż rosnący garb.

– Jedno kręcenie kołem, ruletka, czarne – czerwone.

– Znakomicie, doskonały wybór. Jaki kolor pan obstawia?

Czerwony – pomyślałem i przed oczami pojawiły mi się: święty Mikołaj, arbuzy, lawa, jabłko, krew, flaga ZSRR, ogień, Mars i pomidor. Czarny – koń, smoła, heban, noc, puma, szachy, płyta gramofonowa, winogrono. Czerwony – pomyślałem raz jeszcze – czerwona jest róża, róża...

– Stawiam na czarny – powiedziałem, wiedząc, że muszę postawić na jej przeciwieństwo, czerwony był zbyt przewidywalny, zbyt oczywisty. Czarna róża stanowiła opozycję, nadawała się do tego, by na nią postawić, nosiła w sobie noc i siłę drapieżnej pумы.

Mój żeton spoczął na czarnym rombie, a krupier wprawił maszynę w ruch. Kulka pomknęła po drewnianej ściance, mijając pola, które teraz wyglądały jak jednobarwna wstęga. Czas odmierzał puls w moich skroniach, palce zacisnęły się na krawędzi stołu. Talerz poruszał się coraz szybciej, hipnotyzując dźwiękiem, jaki pociągała za sobą tocząca się kulka. Wreszcie wyrzucona z biegu zaczęła uderzać o przegródki. Wyglądała na pijaną i pobitą, ale ja wiedziałem, że taniec, jaki odprawiała, był głębokim mistycznym ceremoniałem. W końcu wybiła się do góry, z trzaskiem uderzyła i zakotyła się na wybranym polu. Spojrzałem na nie z lękiem. Kulka spoczęła na czarnej 13.

Cel podróży został osiągnięty. Wszedłem do jasno oświetlonej kuchni. Na stoliku stał szklany wazon, w którym spoczywała moja róża. Była niedziela, przy kuchence stała jasna dziewczyna o niebieskich oczach i perłowym uśmiechu. Pod garnkiem buzował ogień, a z niego wydobywał się kojący zapach rosołu. Było południe, z pobliskiego kościoła docierał ledwie słyszalny dźwięk dzwonów. Patrzyła na mnie bez słowa, a ja poczułem na plecach wiele tygodni niewyspania, głodu, zimna, zmęczenia i wyczerpania.

Kiedy kładłem się na łóżku, widziałem jej łagodną twarz. Czułem, że za chwilę zasnę, a kiedy się obudzę, po tygodniu lub po wielu latach, będę wciąż widział ten łuk cierpliwego rozpięty na jasnej twarzy i tylko włosy nabierać zaczną koloru szronu.

Moja wyprawa była zakończona, a ja byłem u kresu podróży.

– Pan raczył o czymś zapomnieć – usłyszałem.

– O czym? – spytałem wyrwany z wyobraźni, uświadamiając sobie, że mam zamknięte oczy.

– O pana powieści – odpowiedział głos.

– Nigdy jej nie napiszę, nie napisałem nigdy ani jednego zdania, nie mam nawet pomysłu. Muszę odpocząć. Poproszę o adres tej kobiety. Gdzie jest kierownik sali? I kim pan w ogóle jest? – spytałem, otwierając oczy.

Przedemną siedział blondyn o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych i mocnym orlim nosie. Patrzył na mnie niezwykłym, magnetycznym wzrokiem.

– Muszę się przedstawiać? – zapytał i pokręcił koło ruletki. Kulka popłynęła po gładkiej tafli i zdryfowała na zielone pole z zerem.

– Pan jest ekscelencją, właścicielem kasyna – stwierdziłem z pewnym zakłopotaniem.

Skinął delikatnie ptasią głową i podparł ją na prawej dłoni. Przypominał mi jakąś postać ze starej, czarno-białej fotografii.

– Pan nie ma racji – powiedział po chwili. – Istotnie, może pan spać przez jakiś czas, a ona będzie opatrywać pańskie rany, będzie się panem opiekować. Ale przecież pan się obudzi, pan na nią spojrzy i będzie szczęśliwy, bo – nazwijmy to – kamienie z pańskiego serca zostaną usunięte i będzie panu lekko, jednak...

– Jednak?

– Na dnie pańskiego serca wciąż będzie ziarno. Pan na początku może je zignorować, ale z czasem ono zostanie wprawione w ruch – powiedział i mocno zakręcił kołem. Zachęcona tym ruchem kulka poczęła gnać ponownie po wnętrzu misy, by raz jeszcze zatrzymać się z szelestem na zerze.

– Pańskie organy zaczną się wokół niego oplatać, a ono z dnia na dzień będzie rosło. W końcu zatka pańskie gardło, a wtedy wyjdzie pan po papierosy i nigdy już nie wróci. Tylko że wtedy niczego już pan nie napisze.

– Dlaczego... dlaczego pan tak myśli, ekscelencjo?

– Ponieważ pan nie pisze powieści. Pan sam jest książką, nawet swoje życie rozpatruje pan w ten sposób. Pan inaczej nie potrafi i nic tego nie zmieni.

– Ekscelencjo, ja nie umiem pisać. Chciałem, próbowałem stworzyć książkę o swoim pokoleniu, ale nie mam ani jednego zdania.

– Pan nigdy tak naprawdę do tego pokolenia nie należał, ale i nigdy nie starał się pan go zrozumieć. Pan zawsze stosował pozycję asekuranta i w nic się pan nie angażował. Pan zawsze był poza.

– Tak, ale chciałem mieć pełniejszy obraz, z zewnątrz.

– Pan pozwoli, że coś panu wyjaśnię i proszę również posłuchać mojej rady. Niech pan coś zje i napije się wódki. Jeżeli nie ma pan pieniędzy, proszę je ukraść. Proszę poszukać jakiejś zdesperowanej kobiety. Niech pan odzyska siłę i będzie z nią przez tydzień lub dwa. Proszę jeść tłusto i do syta, a później zrobić jej scenę zazdrości, strzelić komuś w głowę i wsiąść do najbliższego pociągu. Potem niech pan szwenda się tu i tam, powierzy komuś jakąś tajemnicę i da się sprzedać. Niech pan zrobi cokolwiek, co przybliży pana do świata żywych. Proszę zalać się w trupa i zrobić awanturę w lokalu, rozkochać w sobie nastolatkę, wstąpić do gangu lub do seminarium, kupić narkotyki, ukraść samochód. Niech pan zacznie się kogoś bać i bać o kogoś. Proszę zniechęcić jakiegoś człowieka, a potem go pokochać lub odwrotnie. Niech pan ma poczucie winy i pretensje do całego świata. Niech pan zostawi wszystko, co miał pan dotychczas.

– Ale... Ja nie wiem, nie umiem...

– Nie? To jak pan chce pisać? Jeżeli choćby hipotetycznie nie jest pan w stanie być szują i świętym, jeżeli nie jest pan w stanie skazać niewinnego i ręczyć za zbrodniarza, proszę w ogóle nie pisać. A przecież dochodzi do tego jeszcze pańskie pokolenie...

– Co z nim?

– Proszę spojrzeć na mnie i na sposób, w jaki pan mnie sobie wyobraża. Jest pan taki staromodny. Czy nie pojmuje pan, że świat się zmienia i nie ma to znaczenia, czy nam się to podoba, czy też nie? Jeżeli nie wejdzie pan w to społeczeństwo, w to pokolenie, nie zrozumie pan go.

– Więc nie chce pan ode mnie...

– Podpisanie cyrografu? Żartuje pan? Talent nie jest przekleństwem.

– Więc czym jest?

– Jedni potrafią malować, inni grać na flecie, a jeszcze inni kopać piłkę.

- Taka jest pańska odpowiedź?
- To jest odpowiedź pańskiego pokolenia, ale to pan, zdaje się, miał o nim pisać.
- Pan mi nie odpowiedział.
- I tego nie zrobię – odparł.
- Co mi pan proponuje, ekscelencjo? – podjąłem w końcu.
- To, co powiedziałem.
- A co z moją różą?
- Proszę dać mi ją na przechowanie, obiecuję, że nic jej się nie stanie.

Pokiwałem potakująco i wstałem.

- Dziękuję za rozmowę. Na mnie już czas.
- Do zobaczenia – odpowiedział, a w kącikach jego warg zamigotał pobłażliwy uśmiech.

Znalazłem się na zewnątrz. Słońce wylegiwało się wygodnie na niebie, z budynków topniejącym śniegiem spływała noc, by cienkimi stróżkami też zbiec do kratek kanalizacyjnych. Tam chlipała cicho, lecz zagłuszały ją odgłosy obudzonej cywilizacji.

Stałem przez chwilę, wpatrując się w tę złotą tarczę południa i szukałem w myślach motyki, którą mógłbym zaorać jakąś ziemię. Pod stopami miały chodnikowe płytki posypane piaskiem niepocho-dzącym z żadnej pustyni.

Zamknąłem oczy lub uniosłem powieki i wszedłem w rogatki miasta.

Czerwona róża Przemysława Grześnińskiego otwiera cykl opowiadań zatytułowany *Brama*, w którego skład wchodzi osiem utworów. Każdy z nich może być odczytany odrębnie jako samodzielny tekst, jednak dopiero lektura całości ukazuje prawdziwe intencje autora. *Brama* jest bowiem rodzajem obrachunku pokolenia urodzonego w latach osiemdziesiątych z przeszłością i teraźniejszością. Kreowany przez autora bohater to wnuk pokolenia Kolumbów, o których Tadeusz Różewicz mówi jako o „ocalonych”, „prowadzonych na rzeź”, „krzyczących w nocy”. To pokrewieństwo dotyczy nie tylko świadomego wykorzystania motywów i obrazów z pierwszego powojennego tomiku poety *Niepokój* (otwiera go wiersz *Róża*), ale jest przede wszystkim podjęciem próby wypowiedzi w imieniu generacji młodych spustoszonych wewnątrz przez swoje czasy. Okazuje się bowiem, że nie tylko koszmar wojny może stać się przyczyną zachwiania wszelkich wartości, lecz pozornie bezpieczny dla nich czas pokoju. Zdawać by się mogło, że pokolenie, które czas wojennej Apokalipsy zna jedynie z podręczników historii, nie powinno mieć trudności w odróżnianiu prawdy od kłamstwa, miłości od nienawiści – bowiem powtarzne oddzielenie światła od ciemności zostało już dokonane, przywrócone. Co zatem się stało, że transmisja spuścizny wartości i dorobku kulturowego została zachwiana? Jaki popełniono błąd, że młode pokolenie nie chce, nie może czy nie potrafi ich przyjąć?

Autor *Bramy* nie daje odpowiedzi na te pytania. Głos jego bohaterów to głos tych młodych, których oskarża się o sprzeniewierzenie się odwiecznym prawom, o nieznamość historii i tradycji, młodych nastawionych konsumpcyjnie do świata, wyzutych z wszelkich zasad, nieodczuwających żadnych więzi z minionym, dla nich już archaicznym i niezrozumiałym czasem. I zarazem to głos tych „ocalonych” z pożogi upadku wartości, którzy jednak nie potrafią odnaleźć swojego miejsca wśród rówieśników wyznających z rozbijającą szczerością: „Mam dwadzieścia cztery lata i... jestem, jaki jestem”.